

David Wright O'Brien

Radiolatarnia w kosmosie

(Rayhouse in Space)

Amazing Stories, December 1941

Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

© Public Domain

This text is translation of the novelette "Rayhouse in Space" by David Wright O'Brien (as by Duncan Farnsworth).

This etext was produced from Amazing Stories, December 1941. Extensive research did not uncover any evidence that the U.S. copyright on this publication was renewed.

It is assumed that this copyright notice explains the legal situation in the United States. Copyright laws in most countries are in a constant state of change. If you are outside the United States, check the laws of the appropriate country.

Copyright for the translation is transferred by the translator to the Public Domain.

This eBook is for the use of anyone anywhere at no cost and with no restrictions whatsoever.

Całą kolekcję tłumaczonych przeze mnie utworów SF znaleźć można pod adresem:

[http://archive.org/search.php?query=subject%3A%22WB kolekcja%22&sort=-publicdate](http://archive.org/search.php?query=subject%3A%22WB+kolekcja%22&sort=-publicdate)

— **Z**decydowanie odradzam panu realizację tego pomysłu, panie Kelvin — oznajmił Claude'owi dowódca Międzyplanetarnej Bazy Kosmicznej, w tak taktowny sposób, jak tylko potrafił.

Dowódca był niskim, krępy, posiwiałym starszym dżentelmenem, który nie miał żadnych złudzeń, co do nauki i postępu międzyplanetarnej jedności.

— Ale mówił pan przecież, że na Asteroidzie Osiemdziesiąt stacjonuje już pański człowiek — odparł Claude Kelvin z łagodną nieustępliwością. — Jeżeli on jest w stanie wytrzymać, ehmm, niebezpieczeństwa i rygory związane z tym posterunkiem, to nie rozumiem dlaczego ja miałbym nie dać rady tego zrobić.

Dowódca popatrzył na stojącego przed jego biurkiem wysokiego, chudego, młodzieńca w okularach. Zmierzył wzrokiem delikatne, nerwowe dłonie tego człowieka, zauważając także wystudiowaną powagę jego wyglądu. Opuścił wzrok na leżące przez nim na biurku zezwolenie. Podpisane było przez imponujący zestaw ważnych nazwisk. Wzruszył ramionami i zrezygnował z dalszej walki.

— A więc, bardzo dobrze, panie Kelvin. Nic nie mogę zrobić aby zapobiec pańskiej ryzykownej eskapadzie. Ten dokument pozwala, aby pan to zrobił. Chciałbym jednak panu uświadomić, że na dwa miesiące ugrzęźnie pan na tym zapomnianym przez Boga kawałku skały w kosmosie. Nasz strefowy krążownik kosmiczny zapuszcza się tam tylko raz na dziesięć tygodni.

— To powinno absolutnie wystarczyć, panie komendancie. Moje badania na Asteroidzie Osiemdziesiąt¹ zajmą pełne trzydzieści tygodni.

— Tylko, że człowiek który tam stacjonuje — przerwał dowódca, wtrącając ostatnią uwagę — nie jest, ehmm, najlepszym rodzajem towarzysza, jakiego mógłby pan zapragnąć aby dzielił z panem tak długą samotność.

— Wystarczy mi — oświadczył Kelvin z widoczną dumą, — że będę mógł ją dzielić z jakąkolwiek istotą ludzką. To nie jest jakaś szczególna trudność.

Dowódca westchnął.

— I proszę bardzo — napomniął — uważać na trzaskaczy². Są bardzo podstępni, zdradzieccy i niebezpieczni.

— Czy pański człowiek, który tam jest, miał z nimi jakieś kłopoty? — dopytywał się Claude.

¹ Asteroida Osiemdziesiąt — jedna z Stacji Radiolatarni w pasie asteroid. Poza obszarem samej radiolatarni — niezamieszкана i dzika, w stanie niemal takim jak przed decyzją, aby wykorzystać jej strategiczną lokalizację do utworzenia placówki kierunkowego radionamiernika, wytyczającego kosmiczny szlak w tym niezbyt dobrze skartografowanym obszarze.

² Trzaskacze są ciągle dzikimi, „niecywilizowanymi” mieszkańcami pewnego niemalże bezludnego obszaru zewnętrznego pasa asteroid, w którym asteroida 80 jest kluczową bazą radiolatarni dla pobliskich kosmicznych szlaków. Trzaskacze zostali tak nazwani przez pierwszych Ziemiaków, po tym jak ci zobaczyli ich niemal elektrycznie sterowane ciała i usłyszeli wydawane przez nich głośnie wibracyjne skwierczenia i trzaski.

Komendant powtórnie westchnął.

— Nie — przyznał. — Ale krążą różne historie. I proszę nie zapominać, że nasza radiolatarnia jest dobrze wyposażona w dostateczne ilości broni, aby siedzieli w spokoju.

— A jak się nazywa człowiek obsługujący latarnię? — naciskał Kelvin.

— To funkcjonariusz służby międzyplanetarnej, Grimes.

Claude Kelvin wyciągnął mały czarny notatnik i zapisał sobie w nim ten fakt.

— Dziękuję, panie komendancie. Jestem pewien, że funkcjonariusz Grimes i ja doskonale damy sobie radę.

Komendant patrzył, jak wychodzi z biura. Pokręcił głową, ponownie wzdychając.

— Nie znasz chłopcze Grimesa — wymruczał pod nosem. — No i nigdy jeszcze nie widziałeś trzaskaczy!

Strefowy krążownik międzyplanetarny od dwóch dni był w podróży inspekcyjnej, a jego jedyny pasażer Claude Kelvin, opierając się o barierkę odgradzającą zamkniętą część pokładu, wyjaśniał przyczyny swojej obecności młodszemu oficerowi, który zatrzymał się, aby chwilę z nim pogawędzić.

— Otrzymałem grant uniwersytecki — oznajmił młody Kelvin. — Widzi pan, moje badania stanowią połączenie biochemii i socjologii.

— Naprawdę? — odparł młodszy oficer, niewzruszony.

— Tak, to dlatego moja praca na tej osamotnionej małej asteroidzie, jest taka istotna — kontynuował Kelvin, coraz bardziej się rozgrzewając. — Widzi pan, już od dawna mam taką teorię, że biochemia jest kluczem do dopełnienia unii międzyplanetarnej, żeby tak to określić. Od czasu odkrycia międzyplanetarnego kosmosu i zakończenia jego podboju przez ludzkość, zawsze pojawiały się problemy i nieporozumienia pomiędzy ludźmi z różnych układów międzyplanetarnych. Proszę tylko popatrzeć na wojny, jakie stoczyliśmy, zanim my Ziemianie w końcu zwyciężyliśmy w procesie naszego podboju.

Młodszy oficer skinął ze znudzeniem głową na zgodę.

— Spowodowane to było wyłącznie przez fakt, że nie rozumiemy ludzi z innych planet — powiedział Kevin z narastającą ekscytacją. — Nie udało nam się znaleźć tym ludziom użytecznych nisz w trybie życia, który im narzuciliśmy.

Młodszy oficer ukrył ziewnięcie.

— I pan ma zamiar rozwiązać ten problem – w przypadku trzaskaczy? Kelvin niecierpliwie skinął głową.

— Dzięki biochemii i fundamentalnym obliczeniom ich dalece odmiennych fizycznych jaźni, oraz domieszce socjologii stosowanej, znajdę klucz do tego problemu. Wiem to!

Młodszy oficer zmarszczył brwi.

— Ale dlaczego wybrał pan asteroidę zakażoną plagą trzaskaczy? — dopytywał się z uporem.

Kelvin uśmiechnął się tolerancyjnie.

— Ponieważ — odparł — słyszałem, że są oni, ehmm, najtrudniejszą do sterowania grupą stworzeń kosmicznych, w tym określonym łańcuchu asteroid.

— Co do tego niewątpliwie ma pan rację — zgodził się młodszy oficer.

Leciutko pokręcił głową i wymamrotał coś do siebie pod nosem, mierząc wzrokiem chudą, ascetyczną, wystudiowaną postać młodego naukowca. Potem dotknął końcem dłoni, swej wyposażonej w unoszoną przyłbicę czapki mundurowej.

— No cóż, dobrej nocy, panie Kelvin. Zbliża się moja wachta.

Claude Kelvin uniósł rękę, aby go zatrzymać, powstrzymując raptownie ten ruch i sięgając do kieszeni tuniki po miłą czarny notatnik.

— Jak pan powiedział, że ma na nazwisko? — spytał się Kelvin.

— MacQuales — odparł młodszy oficer. — Podporucznik MacQuales.

Claude Kelvin starannie zapisał sobie to w swym małym, czarnym notesie. Potem uśmiechnął się.

— Dziękuję, poruczniku MacQuales — powiedział. — Dobranoc.

Kiedy porucznik MacQuales zmierzał przez zamkniętą część pokładu w stronę mostka krążownika kosmicznego, ciągle kręcił głową i mruczał do siebie pod nosem z powątpiewaniem.

Asteroida Osiemdziesiąt wyglądała niemal dokładnie tak, jak to plastycznie opisał dowódca Międzyplanetarnej Bazy Kosmicznej. Nie była niczym więcej niż tylko zapomnianym przez Boga kawałkiem skały w kosmosie. Była to tylko jedna z mrowia zabitych dechami asteroid, i Claude'owi Kelvinowi, który przyglądał się z pokładu strefowego krążownika kosmicznego, jak coraz bardziej rośnie przed statkiem, wydawała się niczym więcej, niż tylko szarym, zielonkawym, brzydkim kawałkiem skały. Kelvin jednak uśmiechał się na ten widok, niezniechęcony.

Pięć minut później, dudnienie silników atomowych krążownika strefowego pod stopami Claude'a nagle ucichło i statek kosmiczny zwolnił, by po chwili spocząć bez ruchu.

Claude ubrany był w strój kosmiczny, przydzielony mu w Bazie Międzyplanetarnej i dlatego nie usłyszał kroków podporucznika MacQualesa, kiedy młodszy oficer zmierzał po pokładzie w jego stronę.

MacQuales, który także miał na sobie strój kosmiczny, poklepał Claude'a po ramieniu i wskazał na przycisk komunikatora swojego radiofonu. Claude skinął głową i włączył swe własne urządzenie.

— No dobrze — powiedział MacQuales. — Jest pan gotów?

Claude poczuł lekkie zaskoczenie.

— Jeszcze nie zacumowaliśmy do Asteroidy Osiemdziesiąt — zaprotestował. — Mamy mnóstwo czasu.

MacQuales wykrzywił w twarz w czymś, co mogłoby zostać uznane za uśmiech.

— Zacumowaliśmy, jak diabli. Nie ma sposobu zacumowania do takiego cholernego malutkiego drobiazgu. Zatrzymujemy nasz krążownik

w tym miejscu, a resztę drogi pokonujemy w statkowych szalupach ratunkowych.

Claude zastanowił się nad tym, jak się wydawało MacQualesowi, z trochę nieszczęśliwą miną. Potem wzruszył ramionami.

— No to, dobrze. Wezmę swoje bagaże i ekwipunek.

— Dużo tego jest? — spytał MacQuales.

— Och, całe mnóstwo. Ale szalupa ratunkowa powinna wystarczyć — odparł wysoki młody mężczyzna.

— Wie pan, musimy też dostarczyć zapasy funkcjonariuszowi międzyplanetarnemu Grimesowi — wyjaśnił MacQuales. — Ta wyprawa nie została podjęta wyłącznie dla pańskiej wygody. Jednak, w razie czego myślę, że będziemy mogli użyć dodatkowej szalupy.

— Dziękuję panu — powiedział Claude Kelvin. Potem pośpiesznie udał się po swój ekwipunek.

Przelot między krążownikiem strefowym i przysadzistą, niewielką radiolatarnią na Asteroidzie Osiemdziesiąt, był trochę szarpany. Claude, lecący w pierwszej ze szalup ratunkowych, ścisnął swoje wyposażenie tak pieczołowicie, jak kwoka pilnująca piskląt. Przez cały lot rzucało go w tę i z powrotem po całym niewielkim pojeździe, latał od sternika, do swego sprzętu, to znów w drugą stronę, nieustannie napominając tego kosmicznego weterana, żeby leciał łagodniej, żeby patrzył gdzie leci i żeby pamiętał, że urządzenia Kelvina, to delikatne rzeczy.

W końcu, jednak, obie szalupy wylądowały bezpiecznie na niewielkiej aluminoidowej platformie lądowniczej, która rozciągała się kolistnie wokół przysadzistej, radiolatarni zbudowanej ze stopów duraluminium.

Na platformie dostrzegli wyglądającą ich niecierpliwie, zaskakująco niskiego wzrostu postać w hełmie kosmicznym. Kiedy wysiedli z szalup, jego radiofon był dostrojony do ich.

— Cieszę się, że was widzę — zahuczał głos ze słuchawek. Kevin zamrugał oczyma, zdumiony, że tak niewielki człowieczek może mieć tak niski głos. — Gdzie jest mój nowy kumpel?

Podporucznik MacQuales podszedł, stając u boku Claude'a i obaj ruszyli razem w kierunku niskiego człowieczka.

— Ahoj, Grimes! — zaryczał radośnie MacQuales. — Miło cię widzieć ciągle przy życiu!

Zaś twarz międzyplanetarnego funkcjonariusza Grimesa wykrzywiła się w szerokim uśmiechu, ruszył im naprzeciw, z wyciągniętą dłonią.

— To jest pan Claude Kelvin — przedstawił go MacQuales. — Panie Kelvin, funkcjonariusz Grimes. Mam nadzieję, że panowie przypadniecie sobie do gustu, ponieważ z pewnością spędzicie ze sobą bardzo wiele czasu.

Claude wyciągnął rękę, spoglądając w dół na niskiego, szorstkiego, małego Grimesa.

— Z pewnością jakoś się porozumiemy — powiedział. — I mam nadzieję, że nie rzucimy się sobie do gardeł, ani też nie weźmiemy za, ehmm, włosy.

Grimes był łysy jak kolano. Fakt, na który, czerwony jak piwonia Kelvin, nie zwrócił uwagi, do chwili kiedy nie skończył swej uwagi.

— Żartowniś z pana, co? — Grimes popatrzył ponuro do góry, w twarz Claude'a.

MacQuales również cały czerwony, zaczął coś pośpiesznie bełkotać, próbując stłumić śmiech.

Grimes odwrócił się, wskazując im gestem kwadratowe wrota do służby powietrznej na frontowej ścianie radiolatarni.

— Chodźmy — powiedział. — Wejdź na małego drinka MacQuales, zanim odlecisz.

Ruszyli za Grimesem przez lądowisko, podczas gdy grupa marynarzy zaczęła za ich plecami rozładowywać szalupy. Kilka minut później, zdjęli z głowy hełmy, wchodząc ze służby do wygodnych, niewielkich pomieszczeń mieszkalnych w radiolatarni.

— No cóż, i co pan o tym myśli? — spytał Grimes Claude'a, machając ręką w stronę swojej kwatery.

— Bardzo ładne. Naprawdę, bardzo ładne — oznajmił Claude, — ale...

— Ale, co? — zmarszczył brwi Grimes

— Czy znajdzie się jakieś miejsce, w którym mógłbym rozstawić laboratorium?

— Na dole jest coś w rodzaju piwnicy — wyjaśnił Grimes. — Powinien pan tam znaleźć mnóstwo wolnego miejsca.

Do tego czasu cała trójka już wygrzebała się ze swoich skafandrów kosmicznych, a Grimes zaczął szperać w duralowym składziku, wyciągając trzy szklaneczki i spiralną butelkę.

— Wenusjański towar — oznajmił Grimes, unosząc butelkę, a następnie stawiając ją na stół razem ze szklaneczkami.

— Dobrze — zauważył parę chwil później MacQuales, oblizując wargi i podstawiając szklaneczkę do powtórnego napełnienia.

— Masz cholerną rację — odciął się Grimes. — Gdyby ci trzaskacze wiedzieli, że mam to na składzie, najeżdżali by radiolatarnię każdej nocy.

Ucho Claude'a zapiekło go z nagłym zainteresowaniem.

— Trzaskacze lubią alkohol? — spytał.

— Kochają go — odparł Grimes, — kiedy tylko zdołają go zdobyć.

MacQuales popatrzył znacząco na Grimesa.

— Nasz młody pan Kelvin wpadł na pomysł, że uczyni trzaskaczy szczęśliwą częścią naszej wielkiej, międzyplanetarnej rodziny.

Claude natychmiast zagłębił się w dyskusję. Z zapałem i entuzjazmem zaczął opowiadać Grimesowi o tym, jak dokładnie ma zamiar „socjalizować” trzaskaczy.

Grimes wysłuchiwał tego wszystkiego z kamienną twarzą. Kiedy Claude wreszcie doszedł do końca, stwierdził:

— Myślę, że może pana czekać małe rozczarowanie, Kelvin. Ci trzaskacze, to naprawdę paskudna banda. Nie chcę ich widzieć w promieniu mili od tego latarni.

— Ale moja praca... — zaczął protestować Claude.

— Panie Kelvin, najważniejszą pracą w tym miejscu, jest utrzymywanie działania radiolatarni — rzucił ostro Grimes. — I wszystko, co mogłoby temu zagrozić, albo w tym przeszkodzić, jest nie do przyjęcia.

— W promieniu jednej mili... — powiedział z zastanowieniem Claude. Potem dodał: — Dokładnie pana zrozumiałem, panie Grimes. Ale jeśli będę miał ochotę wyjść do trzaskaczy, spotkać się z nimi w ich własnym — tak to określimy — środowisku, nie będzie miał pan nic przeciwko temu, nieprawdaż?

MacQuales spoglądał neutralnie w sufit.

Grimes nalał sobie kolejnego drinka.

— To już zależy wyłącznie od pana. Chodzi o pańską głowę, a nie moją. Jeśli chce pan zaryzykować, to pańska sprawa.

— Dziękuję — sztywno odparł Claude.

— Ale — i tu Grimes uniósł palec wskazujący w ostrzeżeniu, — jeśli wpadnie pan tam w kłopoty — wskazał teraz w stronę drzwi, — od razu panu mówię, że nie może pan oczekiwać żadnej pomocy z latarni.

— Doskonale rozumiem — wycedził Claude, z zaciśniętymi do białości wargami.

MacQuales nagle wstał.

— Zapasy i sprzęt pana Kelvina, do tej pory powinny znaleźć się już w magazynie — powiedział. — Muszę lecieć. — Zaczął z powrotem zakładać swój ubiór kosmiczny. Zanim naciągnął na głowę glasykadowy hełm, dodał jeszcze: — Panowie, zobaczymy się za dziesięć tygodni. Do widzenia i życzę szczęścia.

Grimes i Claude przyglądali się jak wchodzi do śluzy, obaj milczeli. Potem zniknął im z oczu. Grimes wziął butelkę z wenusjańską whisky. Ciągłe nie odzywając się, napełnił swoją szklaneczkę.

— Fakt, że ta radiolatarnia utrzymuje swoje działanie, fakt, że ani razu nie pozwoliłem aby te namiary uległy wyłączeniu, uratował życie tysiącom ludzi podróżujących w kosmosie. Nie mam zamiaru pozwolić, aby przestała ona działać — nawet na chwilę. Powtórzę więc po raz kolejny: jeśli tam, na zewnątrz, wpadnie pan w jakieś kłopoty, będzie pan musiał sam się z nich wydostać.

Claude Kelvin podniósł się i stanął sztywno wyprostowany. Wszystkie jego teorie o współdziałaniu z ludźmi, poszły w zapomnienie. Nie lubił tego krępego, nieokrzesanego, małego Grimesa, i żadne pokłady zdrowego rozsądku nie mogły wpłynąć na zmianę jego nastawienia.

— Usłyszałem pana już za pierwszym razem — oświadczył Claude...

W ciągu następnych czterech dni, relacje między Grimesem i Claude Kelvinem, nie uległy poprawie. Przez pierwsze dwa dni, jedli swoje posiłki w milczeniu. A po kilku ostrych wymianach zdań, zaczęli je jeść o różnych

porach. W międzyczasie Claude zapoznawał się z radiolatarnią i Asteroidą Osiemdziesiąt.

Było to dla Claude'a niemała niespodzianka, kiedy zorientował się, że radiolatarnia zawiera cały arsenał karabinów atomowych i elektrogranatów. Pamiętał jak komendant Bazy Międzyplanetarnej wspominał, że radiolatarnia była bezpieczna przed atakami trzaskaczy, ponieważ miała znaczne zapasy broni, ale jakoś nigdy nie myślał, jak kompletny magazyn urządzeń do zabijania, mógł być w niej dostępny.

Claude obejrzał sobie również wielkie turbiny promieni, które podtrzymywały działanie nieustannie emitowanych w kosmos wiązek radiowych latarni. Interesowały go one z naukowego punktu widzenia, ale z powodu nastawienia Grimesa Claude nie miał możliwości przyjrzenia się tej aparaturze tak dokładnie, jakby chciał. Grimes zwięźle wyjaśnił mu ich działanie, jednocześnie wskazując w jednoznacznych słowach, że nie życzy sobie, aby Claude kręcił się w pobliżu tak ważnych urządzeń.

Ale zanim jeszcze zdążyły minąć trzy dni, Claude miał już gotowe w piwnicach radiolatarni niewielkie laboratorium i zajął się pierwszymi etapami swej własnej pracy. Grimes nie przeszkadzał mu w niej. Prawdę mówiąc, zahartowany doświadczeniem, niewysoki funkcjonariusz, nawet nie zadał sobie trudu, aby obejrzeć projekt Claude'a.

Czwartego dnia, późnym popołudniem, kiedy Claude kończył właśnie zakładanie stroju kosmicznego, zaś Grimes zszedł z wieżyczek emiterów promieni aby przygotować sobie posiłek, miała miejsce najdłuższa wymiana zdań między nimi, od czasu odlotu strefowego krążownika kosmicznego.

— Gdzieś pan się wybiera? — spytał Grimes.

— Postanowiłem rzucić okiem na Asteroidę Osiemdziesiąt — krótko odparł Claude.

— I na trzaskaczy? — dopytywał się Grimes.

— I na trzaskaczy.

Grimes nie odpowiedział mu od razu. Podszedł do niewielkiej skrzyni na zapasy, stojącej w rogu pomieszczenia, pogrzebał w niej przez chwilę i wrócił niosąc wiązkę pistoletów atomowych.

— Proszę — powiedział Grimes. — Lepiej niech pan to weźmie ze sobą.

Wargi Claude'a zacisnęły się z uporem.

— Nie wydaje mi się, abym miał zamiar urządzić sobie polowanie — oznajmił lodowatym tonem.

Grimes wahał się tylko przez chwilę. Potem wrzucił ramionami, a mięśnie na szczęce mu stwardniały.

— Pańska sprawa — odparł.

Wrzucił broń z powrotem do skrzynki na zapasy.

Ale Claude miał parę słów do powiedzenia.

— Ta broń — oznajmił — i ten cały arsenał, który pan tutaj trzyma, wszystko to pokazuje wyraźnie, dlaczego trzaskacze nigdy nie zachowywali się przyjaźnie.

— Tylko dzięki niemu trzymali się na dystans przez te ostatnie dziesięć lat — spokojnie oznajmił Grimes.

— Jeśli traktuje się kogoś w taki sposób — kontynuował Clyde, — to zawsze trzeba się liczyć z kłopotami z jego strony. Kiedy ten niewielki łańcuch asteroid został odkryty, czy ktokolwiek czynił jakieś próby nawiązania z trzaskaczami przyjaznych stosunków?

— Oni urodzili się po to aby sprawiać kłopoty, jeśli da im się choćby najmniejszą szansę. Są równie niebezpieczni i zdradzieccy, jak każda inna grupa międzyplanetarnych tubylców, która ciągle jeszcze istnieje — stwierdził Grimes z takim samym spokojem jak poprzednio. — Objąłem tę placówkę dziesięć lat temu, po tym jak w przeciągu dekady ośmiu ludzi zginęło, próbując utrzymać ją w ruchu. Ja nie zawiodłem. I nie mam zamiaru tego zrobić.

Claude podszedł do śluzy powietrznej i otworzył ją. Następnie wszedł do komory. Kiedy jej drzwi zamykały się za nim, widział wyraźnie wyraz oczywistego niesmaku, malujący się na poznaczonej przez kosmos twarzy Grimesa. Potem czekał aż będzie mógł otworzyć drugie drzwi śluzy.

Kiedy wydostał się na dwór, na platformę do lądowania otaczającą przysadzisty budynek radiolaterni, Claude wyrzucił z głowy irytację na głupotę Grimesa. Teraz inne, bardziej interesujące rzeczy zaczęły zaprzątać jego myśli.

Na przykład, takie jak gęste kłębowisko zielonoszarej dżungli, otaczającej platformę ze wszystkich stron. Dziwaczna gęstwina bujnej i twardej roślinności, z której biła niepokojąca cisza.

Z tyłu platformy znajdowała się drabinka. Drabinka prowadząca w dół, na ścieżkę na skraju dziwnej dżungli. Claude podszedł do niej i zdecydowanie zaczął zsuwać się po jej szczeblach na ścieżkę. Schodząc po drabinie, w pewnej chwili popatrzył do góry i pochwycił przelotny widok Grimesa – w wieżyczce emitera – wyglądającego przez glosykadową taflę na zewnątrz latarni, na niego. Potem głowa Grimesa zniknęła.

Claude w milczeniu uśmiechnął się do siebie. Grimes był taki sam jak ci pozostali doświadczeni funkcjonariusze kosmiczni. Był częścią grupy, która odkryła ten łańcuch asteroid, naniosiła go na mapy, walczyła na całym jego obszarze i mniej więcej go „ucywilizowała”. Dla niego, ta cała sprawa była prostą kwestią siły i konfliktu.

Stopy Claude’a dotknęły ziemi i puścił drabinę. Potem odwrócił się i rozejrzał dookoła, próbując wypatrzyć krętą ścieżkę, prowadzącą przez macecznik dzikiej roślinności. Uśmiechnął się ponownie, z lekkim napięciem, i ruszył przed siebie ścieżką.

Kiedy szedł, jego dłoń znalazła przycisk radiofonu na przedzie skafandra kosmicznego i wyłączyła go. Potem otworzył panel vibracyjny na piersi. To powinno mu pozwolić na usłyszenie wszystkich dźwięków, dochodzących do niego przez otaczającą go atmosferę.

Pnąca się pod górę ścieżka, robiła się coraz bardziej stroma i mroczna, ale Claude szedł dalej. Przez panel vibracyjny zaczęły dolatywać do niego rozmaite dźwięki. Głównie słabe, szeleszczące odgłosy, które pojawiły się

kiedy Claude zobaczył małe, dziwacznie ubarwione owady, prześlizgujące się po powierzchni wielkich, szorstkich liści.

I wtedy przez panel vibracyjny doleciały do niego wyraźnie trzaski.

Przez środek pleców przebiegł mu mimowolny dreszcz emocji. Gdzieś w pobliżu były trzaskacze! Jak do tej pory widział te stworzenia tylko na obrazach radifoto, ale wiedział – niemalże z taką samą pewnością, jakby miał okazję już wcześniej osobiście je słyszeć – że ich fizyczne procesy życiowe wiązały się z osobliwymi trzeszczącymi dźwiękami, emitowanymi nieustannie przez ich dziwaczne ciała. Już sama ich nazwa, trzaskacze – pochodziła właśnie od takich wrażeń słuchowych przekazywanych przez Ziemian, którzy ich odkryli.

Claude przesunął się dalej. Kolejne dziesięć jardów, a potem stanął. Przed nim, w górze, na wyniesieniu ścieżki znajdował się trzaskacz!

Błyszcząca poświata ciała stworzenia, powodowała, że było ono widoczne nawet w półmroku niesamowitego otoczenia.

Stwór miał standardowe rozmiary, był mniej więcej wzrostu przeciętnego Ziemianina. Ale jego ciało było zaokrąglone, niemalże kuliste, zwieńczone podobnego kształtu głową. Pozbawione powiek, świdrujące oczy trzaskacza, były okrągłe, i miały średnicę niemal cala.

Stworzenie nie posiadało nosa, zaś usta miały formę owalnego otworu. Miały może jakiś cal szerokości i trzy cale wysokości. Jego nogi były krótkie i proste, nie było na nich widać żadnych stawów. Ręce natomiast stwór miał długie i obwisłe, sięgały prawie aż do ziemi.

Kiedy stwór zauważył Claude'a, trzeszczące vibracje zaczęły robić się coraz głośniejsze. Po chwili Claude zaczął przesuwać się do przodu, rozkładając szeroko ręce z pustymi rękawicami, pokazując że jest nieuzbrojony.

Potem, w odległości mniej niż pięć jardów od trzaskacza, Claude zatrzymał się. Zaczął szperać w zewnętrznej kieszeni na boku skafandra kosmicznego.

Trzeszczące vibracje jęły nabierać intensywności, tak jakby wywołanej niepokojem lub gniewem.

Claude wyciągnął do przodu butelkę – z wenusjańskich zapasów Grimesa – i postawił ją przed sobą na ziemi.

Trzeszczące vibracje zabrzmiały teraz jakby gderliwie, a po chwili wahania trzaskacz ruszył do przodu z szybkością błyskawicy, złapał butelkę i pomknął do tyłu, na swoje poprzednie miejsce. Claude uśmiechnął się. Grimes jednak nie kłamał. Te stworzenia naprawdę uwielbiały alkohol.

Teraz Claude zrobił parę kroków w stronę trzaskacza. Stworzenie nie cofnęło się, a jego vibracje miały stały poziom. Claude wziął głęboki oddech, podchodząc do trzaskacza na wyciągnięcie ręki. Cały czas się uśmiechał. Wszystko toczyło się doskonale. Szkoda, że Grimes go nie widział. Być może zmieniłoby to choć część jego idiotycznych przekonań.

Claude wyciągnął rękę, z zamiarem umieszczenia dłoni na ramieniu trzaskacza. Ale wtedy stworzenie, z niewiarygodną szybkością, obróciło się na pięcie i śmignęło, uciekając gdzieś w gęste poszycie lasu!

Claude stał jak wmurowany, z głupawo otwartymi ustami, zaskoczony gwałtownością ucieczki trzaskacza. Potem wzruszył ramionami, z dobrym humorem.

— Pierwsze lody zostały przełamane — powiedział sobie. — I są już jakieś fundamenty, na których można budować dalej.

Stał tam może jeszcze z dziesięć minut, nasłuchując uważnie jakichkolwiek oznak powrotu trzaskacza, albo zbliżania się innych przedstawicieli z tej dziwnej rasy. Potem odwrócił się i ruszył po swoich śladach ścieżką w dół, w stronę radiolatarni.

Kiedy Claude wrócił, Grimes czekał na niego. Siwy funkcjonariusz kosmiczny wydawał się być czymś poirytowany i zaniepokojony. Kiedy Claude wyszedł ze służby i wszedł do środka, Grimes chodził w tą i z powrotem po wąskich pomieszczeniach kwater mieszkalnych.

— I co pan tam znalazł? — ostro rzucił Grimes.

Claude był zaskoczony. Potem poczuł zadowolenie.

— Spotkałem jednego z tych podobno tak niebezpiecznych trzaskaczy — oświadczył lekkim tonem. — Niemal natychmiast ustanowiłem przyczółek dla przyjaznych stosunków. Oczywiście, to stworzenie w końcu uciekło, ale na tyle późno, bym przekonał się o jego nieszkodliwości.

— Jestem zaskoczony, że pańska skóra ciągle jest nietknięta — warknął Grimes. — Ponieważ, panie Kelvin na Asteroidzie Osiemdziesiąt podniósł się jakiś ruch. I to nie chodzi o kosmiczne myszy!

Claude popatrzył na niego z pełnym wyższości uśmiechem.

— Naprawdę? Wie pan, Grimes, wydaje mi się, że przez ostatnie dziesięć lat żył pan w świecie swej własnej wyobraźni. Kiedy wrócę do bazy, będę rekomendować odesłanie pana na urlop w jakieś cywilizowane miejsce. Być może to panu jakoś pomoże.

Grimes zdusił w gardle słowa odpowiedzi. Na jego szczęce wyraźnie widać było sznury mięśni. Pociągnął się za kciuk, obracając się na pięcie.

— Niech pan ze mną pójdzie, panie Kelvin. Z pewnością to pana zainteresuje.

Nadal uśmiechając się z błogim samozadowoleniem, Claude ruszył za Grimesem do góry, po schodach prowadzących do wieżyczek emiterów. Obaj nie odezwali się ani słowem, aż dotarli na platformę obserwacyjną ponad potężnymi turbinami, generującymi wiązki promieni.

Grimes podszedł do panelu z przyrządami, na przedzie platformy.

— Proszę popatrzeć na to — zaprosił Claude'a, wskazując przede wszystkim na dużą tarczę jednego z przyrządów.

Claude nachylił się nad tarczą, ze zmarszczonymi brwiami. Po chwili wyprostował się.

— Bardzo mi przykro — uśmiechnął się, — ale nie pojmuję o co chodzi.

— Podobno jest pan biochemikiem — sarkastycznie stwierdził Grimes — i sądziłem, że ma pan dostatecznie dużo rozumu, aby zwrócić uwagę na wahania wskazówki na tego przyrządu, kiedy pan je zobaczy.

Claude skinął głową.

— Zgadzam się, że wskazówka tego przyrządu odrobinę wychyla się do przodu i do tyłu. Ale co to ma wspólnego z biochemią?

— Widział pan trzaskacza? — zwięźle zapytał Grimes. — Słyszał pan te trzeszczące vibracje, wydawane przez jego ciało?

Claude ponownie przytaknął.

— Biochemicy udowodnili, że trzaskacze są fizjologicznie „przesączone” swego rodzaju ładunkiem elektrycznym, który nadaje im impulsy życiowe. Mają w sobie organ podobny do prądnicy, będący dla nich równie ważny, jak serce dla nas — wyjaśnił Grimes.

Claude poczuł się nieco zbity z tropu. Grimes wydawał się wiedzieć więcej, niż wcześniej mu to przypisywał. Słuchał jak posiwiał niewielki funkcjonariusz, mówi dalej.

— No cóż, właśnie dzięki tej elektryczności, która jest bardzo namacalną siłą, vibracje ciał trzaskaczy – kiedy są one szczególnie aktywne – rejestrowane są przez nasze przyrządy tu, w radiolatarni. Oddziaływania te nie są na tyle silne, aby wpływać na nasze instrumenty, jeżeli nie zbiorą się oni w szczególnie dużej liczbie i nie są czymś niezwykle podekscytowani.

Claude stwierdził, że ponownie przypatruje się wahającej się wskazówce.

— Już od bardzo dawna nie widziałem, aby te przyrządy tak silnie reagowały na obecność tych diabłów — powiedział Grimes. Coś się szykuje, stawiam na to swoją głowę.

Dla odmiany, Claude Kelvin nie za bardzo wiedział, co na to powiedzieć.

Grimes wpatrywał się w niego.

— Co pan zrobił, kiedy tam w lesie spotkał pan dzisiaj trzaskacza?

Claude przełknął ślinę.

— Dałem mu prezent, eee... oznakę dobrej woli.

— Co mu pan dał?

— Trochę whisky – butelkę – z pańskich zapasów.

Grimes popatrzył na niego gniewnym wzrokiem. Jego pięści zacisnęły się i zrobił niewielki krok do przodu.

— Proszę posłuchać — pośpiesznie wyjaśnił Claude, cofając się o krok, — zamierzałem zwrócić panu pieniądze. Zapłacę za nią natychmiast, jeśli mi pan nie wierzy.

— Ty nieudolny ośle! — wyrzucił z siebie Grimes. — Nie powinienem pozwolić panu wystawić nosa z latarni! Czy pan myśli, że cena cholernej butelki whisky ma dla mnie jakiekolwiek znaczenie?

— No cóż — pośpiesznie powiedział Claude, w próbie załagodzenia tej całej sprawy, — nie rozumiem o co pan robi to całe melodramatyczne zamieszanie. Z pewnością odrobinę whisky, raptem but...

— Ta jedna butelka whisky — wycodził Grimes, podkreślając każde słowo ze złowieszczą jasnością — wystarczy, aby utrzymać całe plemię trzaskaczy, przez tydzień w stanie kompletnego upojenia. Jedna kropla dla

trzaskacza może wywołać na takie piekło, że skończy się to dwudniową strzelaniną.

— Nie mogłem przecież wiedzieć... — zaczął Claude.

— Nie powinienem zakładać, że będzie pan cokolwiek wiedział — stwierdził z niesmakiem Grimes. — Mój błąd!

I znów Claude otworzył usta, gotów do gorącego protestu. Ale Grimes dopadł nagle panelu przyrządu, którego wskazówka tak niepokojąco się poruszała. Teraz wychylała się dwa razy gwałtowniej niż poprzednio.

Język Grimesa nie był specjalnie wykwinny.

— Niech pan posłucha... — wykrztusił Claude.

— Proszę się zamknąć — ostro rzucił Grimes. — Niech pan zejdzie na dół i przyniesie dwa – nie, cztery – karabiny atomowe!

Coś w tonie Grimesa spowodowało, że Claude automatycznie obrócił się i ruszył pośpiesznie na dół spiralnymi schodami. Kiedy w końcu wpadł z powrotem na górę, uwolnił się od reszty ubioru kosmicznego i niósł ze sobą cztery karabiny atomowe.

Grimes chwycił z jego rąk dwa karabiny.

— Potrafi pan strzelać? — ostro spytał posiwiały funkcjonariusz kosmiczny.

Claude skinął głową w milczeniu. Grimes oparł swoje dwa karabiny o znajdującą się przed nim barierkę. Potem wyciągnął rękę i przerzucił przełącznik. Cała platforma lądowiska wokół i pod latarnią została zalana światłem. Widać było także skraj otaczającej ich dżungli.

Zaś Claude aż sapnął, ujrawszy widok jaki ukazał się jego oczom w powodzi światła. Cała chmara trzaskaczy wspięła się na platformę lądowiska i kłębiła się wokół durstalowych ścian radiolatarni. Grimes wyciągnął spod szafki z panelami przyrządów dwa hełmy i proste skafandry kosmiczne. Wręczył jeden z nich Claude'owi.

— Niech pan to zakłada na siebie — polecił, — opuścimy osłonę wieży i damy popalić tym trzaskaczom!

Claude nagle odsunął się upartą miną.

— Chyba nie ma pan zamiaru wyrządzić tym biedakom jakiejś krzywdy? — zaczął się dopytywać.

— Oni nie przyszli tutaj, żeby podziękować nam za whisky — wyrzucił z siebie sarkastycznie Grimes. — Niech pan robi to, co mówię — zagrzmiał.

Oszołomiony, Claude założył na siebie sprzęt rzucony mu przez Grimesa. Wtedy Grimes chwycił go za ramię.

— Niech pan się im przyjrzy — polecił.

Claude popatrzył na kłębiących się w dole trzaskaczy.

— Czy widzi pan te małe kije, które trzymają w dłoniach? — zapytał Grimes.

Claude skinął głową.

— To jest ich broń i to dosyć niebezpieczna — wyjaśnił mu Grimes. — Kiedy któryś z nich wyceluje z tego w pańską stronę, proszę się uchylić. W tych niewinnie wyglądających kijach znajdują się ładunki elektryczne, mogące zupełnie sparaliżować człowieka, który będzie miał to nieszczęście by zostać przez nie trafiony!

Claude skinął ponownie, zduszając swe emocje przełknięciem śliny.

Następnie Grimes dotknął przycisku i glasykadowa osłona wokół ich wieży szybko opadła ze wszystkich stron. Grimes oparł się o barierkę, z karabinem atomowym przyłożonym do ramienia.

Pośpiesznie Claude zajął posterunek w odległości kilku jardów od Grimesa, unosząc swój karabin i przyjmując tę samą pozę.

— Jeszcze nas nie zauważyli — zawołał Grimes. — Nie są przyzwyczajeni do światła.

I z tymi słowami, uważnie wybrał sobie jednego z pierwszych trzaskaczy na platformie lądowiska, naciskając po chwili spust swojego karabinu atomowego.

Trzaskacz padł jak długi na okrągły brzuch, zaś z jego ciała zaczęła tryskać jak krew, fontanna iskier. Leżał bez ruchu, jego towarzysze skłębili się wokół niego w zaskoczeniu.

— Teraz patrzą w górę, na nas! — krzyknął Grimes. Nacisnął znowu spust swej atomowej broni. Kolejny trzaskacz trysnął iskrami i stoczył się z platformy, spadając za jej krawędź w gęste zarośla dżungli.

Claude, jednak, stał jak wmurowany na swoim miejscu, przy barierce. Gapił się z wytrzeszczonymi oczyma na dwóch leżących trzaskaczy, na fontanny iskier wypływające z ich ciał.

Grimes natychmiast odwrócił głowę w jego stronę.

— Do diabła! — ryknął. — Myślałem, że potrafi pan strzelać! No dalej, ognia!

Koło hełmu Claude'a, nagle przemknęła ze świstem mała czerwona kulka elektrycznego ognia. Potem kolejna, zaś trzecia rozbłysła na barierce ze stali chromowej, tuż przy jego łokciu.

Claude wycelował karabin w trzaskacza znajdującego się niemal bezpośrednio pod nim. Stworzenie wskazywało trzymanym w ręku patykowatym przedmiotem, w górę, na niego. Claude nacisnął pośpiesznie spust. Trzaskacz poleciał do tyłu, jak żołnierz-zabawka, uderzony korkiem. Znowu trysnął deszcz iskier i znowu szczeka Claude'a opadła w zdumieniu.

Grimes strzelał chłodno i precyzyjnie. Wybierał jednego po drugim, kolejnych przywódców grupy, która wdarła się na platformę. Koniec duralowej lufy jego karabinu atomowego zaczął jasno świecić, odłożył go więc i wziął zapasową broń.

Kolejny strzał. Kolejna fontanna iskier.

Małe, świecące pociski elektryczne teraz już uderzały koło nich, ze wszystkich stron, zaś Claude zaczął strzelać z mechaniczną dokładnością, która go zaskoczyła. A za każdym razem, kiedy padał kolejny trzaskacz, tryskały deszcze iskier i Claude z niedowierzaniem kręcił głową.

Wreszcie, w pewnej chwili, Claude zdał sobie sprawę, że platforma została oczyszczona z trzaskaczy – to jest żywych trzaskaczy – oraz że Grimes przerwał ogień. Kelvin widział innych trzaskaczy nieregularnie wystawiających swe okrągłe głowy spoza gęstych zarośli, podczas gdy ich

zdolni do opuszczenia platformy towarzysze, ratując życie uciekali w popłochu.

Grimes znalazł przycisk, który ponownie otoczył ich glasykadową osłoną wieży i zdjął z głowy hełm w chwilę po jej zamknięciu. Claude postąpił tak samo, a kiedy zdejmował z siebie ostatnie elementy wyposażenia, Grimes z ponurą satysfakcją wyglądał już na usianą ciałami trzaskaczy platformę do lądowania.

— To była dla nich niezła lekcja — stwierdził.

Claude czuł lekkie mdłości. Pomimo wszystko, były to żywe, myślące stworzenia, nawet jeśli ich ciała ledwie przypominały ludzkie. Przytaknął z twarzą białą jak popiół.

— Myśli pan, że oni wrócą? — spytał Claude.

Grimes skinął głową na potwierdzenie.

— Oczywiście. To był tylko pierwszy z całej serii ataków. Przez jakiś czas światło będzie ich odstraszać. To daje panu szansę, żeby odrobinę zmrużyć oko, na dole.

Claude zawahał się.

— Proszę posłuchać — w końcu wyrzucił z siebie, — jeżeli w jakiś sposób jestem za to odpowiedzialny, to bardzo mi przykro.

Grimes popatrzył na niego bez wyrazu.

— Dajmy temu spokój — powiedział. — Tym możemy zająć się później. Teraz mamy robotę do wykonania. Musimy bronić radiolatarni i nie możemy się spodziewać żadnej pomocy ze strony krążownika strefowego, ponieważ nie da rady tutaj dotrzeć przez kolejne sześć dni.

— Z pewnością nic nie będą mogli zrobić przeciwko takiemu uzbrojeniu... — zaczął Claude.

— To sprytnie diabły — stwierdził Grimes, nie ujawniając swych uczuć.

— Wszystkiego można się po nich spodziewać. Za dwa dni powinien w pobliżu przelatywać liniowiec pasażerski – jedna z największych łajb pasażerskich w tym łańcuchu. Musimy utrzymać do tego czasu działanie wiązek radiolatarni, albo dla ponad tysiąca naszych ziemskich chłopaków, rozpęta się prawdziwe piekło.

— Ale... — zaczął Claude, oszołomiony.

— Czy to nie jest dostatecznie szlachetny powód do tego, żeby przez dwa dni utrzymać się przy życiu? — sarkastycznie zapytał Grimes. — Musimy zapewnić działanie radiolatarni. Niech więc pan zejdzie na dół i złapie trochę snu!

Claude Kelvin, wyraźnie wstrząśnięty, ruszył w stronę spiralnych schodów. Zanim zszedł na dół, zatrzymał się.

— Te iskry — powiedział. — Za każdym razem, kiedy dostaliśmy kogoś z trzaskaczy, tryskały całe ich fontanny, jak krew. Dlaczego?

Grimes wzruszył ramionami, z rozdrażnieniem.

— Nigdy poświęcałem czasu, żeby nad tym pomyśleć. Jakoś odpowiedzialna jest za to ta gorzała, którą im pan dał. Jestem tego w

zasadzie pewien. Kiedy nie są zalani w trupa, to jak dostaną, sączy się z nich tylko niebieskawa ciecz.

— Ale, dlaczego... — zaczął Claude.

— Też ma pan czym się przejmować w takiej chwili! — warknął Grimes z nagłym strapieniem w głosie. — Idź pan na dół!

Claude udał się na dół.

Było to już mniej więcej w okolicy wczesnego poranka, kiedy Claude Kelvin z zaspanymi oczyma i wystraszony, wspiał się po spiralnych schodach do wieżyczek emiterów, gdzie zmęczony Grimes ciągle trzymał wartę.

— Bardzo przepraszam, jeśli spałem za długo — zaczął mówić Claude.

— Nie mówmy o tym — warknął Grimes. Wręczył Claude'owi karabin atomowy, który spoczywał oparty o barierkę platformy. — Jeśli cokolwiek zacznie się dziać, niech mnie pan natychmiast obudzi. Proszę nie próbować załatwiać tego samemu.

Zniknął na dole spiralnych schodów.

Claude popatrzył w dół, na gęstą roślinność, która otaczała platformę u podnóża wieży. Gdzieś tam, w ciemnym gąszczu tej niesamowitej dżungli, czaili się trzaskacze, którzy mieli być przedmiotem jego badań.

Zauważył, że ciała kuliście ukształtowanych stworzeń, zabitych na platformie poprzedniej nocy, ciągle tam leżały, dokładnie w miejscu, w którym upadły. Potem ponownie przesunął swój wzrok na skłębione, zielonoszare zarośla dziwnej dżungli.

Minuty ciągnęły się, jedna za drugą. Za nimi, wlekły się godziny. Plecy Claude'a przeszywały skurcze, a pot wywołany wysiłkiem i napięciem, zaparowywał mu okulary. Przeciągnął się i pewnie zacisnął uchwyt na karabinie atomowym. Grimes powiedział, że za dwa dni będzie przelatywać liniowiec.

Co oznaczało, że stanie się to o jakiejś bliżej nieokreślonej godzinie dnia jutrzejszego. A więc, będą musieli utrzymać się co najmniej do jutra. I nagle Claude zdał sobie sprawę, z obecnej w jego myślach, rezygnacji. Do jutra. A co będzie później, jeśli trzaskacze ich dopadną?

Claude wzdrygnął się. Aż do tej chwili, w jego młodym życiu, myśl o śmierci była co najwyżej tematem rozważań w laboratorium naukowym. Studiował śmierć w odniesieniu do innych ludzi. Nigdy, w stosunku do siebie samego.

To nie było przyjemne. Claude jedną ręką zdjął okulary i wytarł je starannie o tunikę. Potem umieścił je ponownie na swym chudym, ascetycznym nosie, i wrócił do przypatrywania się listowiu dżungli.

Na krótką chwilę, obejrzał się do tyłu. Wskazówka na wielkiej tarczy panelu przyrządu skakała tak samo szaleńczo, jak poprzedniej nocy. Wzdrygnął się, myśląc o tych wyłupiastookich trzaskaczach, czających się tam na zewnątrz, obserwujących go. Zastanawiał się, jakim cudem uniknął śmierci, kiedy wypuścił się samotnie do lasu.

Nagle Claude poczuł spadające na niego brzemie poczucia winy. Siedział tu, otoczony myślami o uratowaniu swej własnej skóry, kiedy na szali leżało życie tysięcy ludzi. Zdawał sobie bowiem sprawę, chociaż Grimes nie poświęcił temu zbyt wielu słów, że zgaszenie wiązek radiolatarni rzuciłoby luksusowy liniowiec w niemożliwe do przebycia bagno małych, gęsto poprzeplatanych pasów asteroid. Bez namiarów kierunkowych latarni, statek niewątpliwie rozbije się w tym labiryncie.

Claude zobaczył zaokrąglone, kuliste ciało ukazujące się tle szarozielonych zarośli, po jego prawej ręce. Odwrócił się szybko i nacisnął spust karabinu atomowego. Postać zniknęła. Claude nie potrafił powiedzieć, czy ją trafił, czy nie.

Minęła kolejna godzina, a potem jeszcze jedna. Claude stwierdził, że trudno mu jest patrzeć z powodu mgiełki na okularach. Zabierały za dużo światła. Zdecydowanie za dużo światła. Przez to wszystko wydawało się zamglone, przyćmione, przyćmione...

Claude obudził się raptownie. Być może powodem tego były głośnie skwierczące wibracje, które wydawały się dolatywać zewsząd wokół niego. Powodem mogło być też „paf”, „paf”, „paf” karabinu atomowego, strzelającego pośpiesznie gdzieś na spiralnych schodach latarni.

Panowała ciemność i Claude, już w chwili kiedy otwierał powieki, uświadomił sobie, że winien był straszliwej rzeczy. Zasnął na warcie!

Poderwał się na równe nogi, łapiąc swój karabin atomowy i popędził na schody. Było dla niego oczywiste, skąd w tym momencie dobiegają odgłosy strzałów i skwierczące wibracje trzaskaczy.

Trzaskacze uderzyli na latarnię, kiedy spał – i jakoś udało im się dostać do środka!

Claude był już na schodach, patrząc na dół. Zobaczył Grimesa, w lepiącej się od potu tunice, cofającego się po schodach i jednocześnie strzelającego do chmary trzaskaczy, którzy próbowali podążać jego śladem!

Przepełniało go tylko jedno uczucie, potężne, przemożne uczucie ulgi wynikające ze świadomości, że jego zaniedbanie nie kosztowało życia Grimesa. Potem Claude puścił się bez namysłu w dół po stopniach, aż stanął u boku Grimesa, otwierając ogień do ohydnych, zaokrąglonych twarzy o wytrzeszczonych oczach, które spychały ich coraz bardziej w górę.

We dwóch torowali sobie drogę z powrotem na szczyt schodów, krok za krokiem, z karabinami coraz bardziej parzącymi im dłonie. Od czasu do czasu śmigały wokół nich elektryczne grudki ognia, kiedy trzaskacze odpowiadali im ze swojej broni.

W pewnej chwili Grimes popatrzył na Claude’a, i pogarda widoczna w jego spojrzeniu była wręcz miażdżąca.

W końcu dotarli do wieżyczek emiterów, i Grimes opuścił na właz ze schodów grubą durstalową pokrywę, odcinając możliwości strzału z obu

stron, podczas gdy trzaskacze kotłowali się na dole, trzeszcząc głośno z gniewu i frustracji.

Grimes stanął prosto i Claude dopiero wtedy zobaczył, że prawe ramię starego funkcjonariusza kosmicznego było potwornie poparzone, straszliwie, niemalże do kości.

— Trafili pana! — zawołał Claude.

Grimes warknął w odpowiedzi:

— Kiedy *obaj spaliśmy!*

Trzeszczenie pod pokrywą włazu zakrywającą spiralne schody, zdawało się cofać w dół. Trzaskacze ewidentnie schodzili do kwater mieszkalnych, żeby dokonać w nich rekonesansu.

Grimes był zupełnie blady, a oczy szklily mu się gorączką. Claude ze zgrozą patrzył, jak weteran kosmicznych walk pada bezwładnie na platformę. Wtedy, nagle, dookoła zapadła jakaś dziwna, złowieszcza cisza.

Leżący Grimes popatrzył w górę, na Claude'a, przygryzając wargi z powodowanego przez ranę bólu.

— Ta cisza, oznacza zatrzymanie przez naszych przyjaciół, trzaskaczy, generatorów promieniowania radiowego — powiedział z goryczą. — Sygnały radiolatarni zostały wyłączone. — Powiedział to ciężko i z wyraźnym wysiłkiem.

Claude stał tam, bez słowa, przepełniony palącym wstydem i poczuciem winy.

— Wiązki nie mogą przestać działać! — z trudem wymamrotał Grimes. — Liniowiec najprawdopodobniej będzie przelatywał dziś wieczorem. Musi mieć sygnały naprowadzające – musi!

Podjął daremną próbę, aby podnieść się na kolana. Nie udało mu się i zaczął się czołgać po podłodze, w stronę pokrywy włazu.

— Zaraz wezmę i uruchomię sygnał radiolatarni — wymamrotał. — Muszę ją uruchomić!

Jednak, w tej samej chwili funkcjonariusz międzyplanetarny Grimes stracił przytomność i znieruchomiał wyciągnięty twarzą w dół na platformie wieżyczek emiterów. Claude, nachylając się nad jego bezładnie leżącym ciałem, szlochał oślepiony przez łzy wstydu i wściekłości.

Odciągnął ciało Grimesa we względnie bezpieczne miejsce w rogu platformy, a potem, ciągle trzymając w ręce swój karabin atomowy, zaczął pośpiesznie przeglądać jedną z szafek pod panelami z przyrządami, aż w końcu znalazł to, czego szukał.

Kiedy podszedł do włazu przykrywającego zejście na spiralne schody, na szyi wisiała mu torba z matatkaniny. W torbie znajdowały się dwa tuziny ręcznych elektro-bomb. Potem, zdecydowanymi ruchami, Claude zaczął odsuwać zasuwy, którymi Grimes zamocował pokrywę włazu. Kilka chwil później, uniósł ją i odsunął z otworu wejściowego.

Claude nie niepokojony przez nikogo, ruszył na dół spiralnymi schodami. Trzaskacze zebrali się w pomieszczeniach mieszkalnych. Słyszał dochodzący stamtąd szaleńczy harmider trzasków, rozbijanych mebli i

tłuczonych butelek. Najwidoczniej przeżywali cudowne chwile, zajmując się zapasami wenusjańskiej whisky Grimesa.

Mijając poziom, na którym znajdowały się generatory promieni radiowych, Claude zauważył z trwogą, że zostały one kompletnie rozbite przez trzaskaczy. Bał się tego, ale również i spodziewał. Trzaski robiły się coraz głośniejsze. Był już tylko parę jardów od pomieszczeń mieszkalnych. U dołu schodów, zaledwie trzy kroki od niego, pojawił się pierwszy z trzaskaczy.

Claude wypalił z biodra ze swego karabinu atomowego, prosto w twarz trzaskacza. Wytrysnął deszcz iskier. Potem w drzwiach pojawiła się kolejna okrągła głowa. Claude strzelał szybko, skutecznie, w jego głowie szalał płomień furii. Twarze rozpadały się w fontannach iskier, znikwały gdzieś z tyłu.

Claude wkroczył do kwater mieszkalnych cisnął pierwszą ręczną elektro-bombę w grupę mniej więcej piętnastu trzaskaczy, kotłujących się w przeciwległych narożniku pomieszczenia, Nastąpił potężny wybuch. Ściany jakoś go wytrzymały. Claude został rzucony na podłogę przez falę uderzeniową. Po chwili podniósł się z powrotem na nogi, trzymając ciągle karabin przy biodrze i strzelając raz za razem, do mocno już w tej chwili przerażonych stworzeń. Ze wszystkich stron tryskały iskry.

Ci, którzy mogli, przepychali się w stronę śluz powietrznych, przez które dostali się do środka. Korek w tym miejscu dał Claude'owi możliwość wystrzelania wszystkich trzaskaczy, jak kaczek. Żaden z nich nie wydostał się z latarni.

Zaś stojący w kłębach dymu, deszczu iskier i strasliwym zamieszaniu, Claude Kelvin, który nie był już tym samym ascetycznym młodym człowiekiem co dzień wcześniej, rozglądał się z zapalem po pomieszczeniu, szukając kolejnego trzaskacza do zabicia. Nie było już żadnego.

Claude upuścił swój karabin i elektro-bomby. Złapał cienkie, mackowate ręce czterech stworzeń i zaczął ciągnąć ich bezwładne ciała do góry, po kręconych schodach.

Rzucił je na podłogę w miejscu, w którym stały bezużyteczne generatory promieni radiowych. Potem z ponurym, niewidzącym stworzeniem, człowieka w transie, zabrał się do roboty. W głowie miał tylko jedną myśl. Sygnały dla liniowca musiały zostać wysłane.

Podporucznik MacQuales, który pojawił się w latarni na asteroidzie Osiemdziesiąt jakieś cztery dni później, naturalnie, był kompletnie zaskoczony. Całe to miejsce stanowiło scenę niewiarygodnego zamieszania i chaosu. Zaś młody Kelvin, obdarty, cały okopcony i dostający zwidów z przepracowania oraz głodu, nie był w stanie zbyt wiele w spójny i logiczny sposób wyjaśnić.

Ale radiolatarnia działała. Jej sygnały rozbłyskiwały ze stałą i zaskakująco dużą mocą. Pomimo, że funkcjonariusz Grimes leżał ranny, z raną jaką mogły zadać mu jedynie trzaskacze, i był w stanie tylko majaczyć coś w malignie.

Wszędzie wisił osobliwy zapaszek i nigdzie nie było kompletnie żadnych trzaskaczy, poza dwoma znalezionymi koło generatorów promieniowania. Zapaszek był mieszaniną spalonej przy pomocy elektryczności materii – niemal jakby żywego ciała – i wenusjańskiej whisky.

Nie wiadomo było skąd pochodzi, dopóki młody Claude Kelvin nie wyjaśnił, że zasilane elektrycznie ciała trzaskaczy – nasączone whisky – dostarczyły doskonałych tworzących iskry prądnic, które zastąpiły zniszczone przez nich generatory i pozwoliły utrzymać emisję wiązek radiowych z wieżyczek na kosmiczne szlaki.

Jak to stwierdził funkcjonariusz Grimes, po tym kiedy on i Claude zakopali przy jego łóżku topór wojenny:

— Ten dzieciak nie wiedział może nic o socjologii, ale Jezu, jaki z niego biochemik!

KONIEC